Ruda jestem od dziecka

Jest osobą barwną. Ton jej głosu można rozpoznać nawet na końcu świata. Zawsze pogodna, tryska energią. Kocha ludzi i swoją pracę. Bez filmu i teatru nie wyobraża sobie życia.

Żyje Pani pomiędzy Warszawą a Los Angeles: gdzie właściwie jest teraz Pani dom?

– Tam, gdzie moja praca. Jestem typem podróżniczki. Szybko zapuszczam korzenie i niemal wszędzie czuję się dobrze. Jestem bardzo aktywna, muszę być z ludźmi, pracować. Tak zostałam wychowana. Od małego rodzice wpajali mi, że pojęcie nudy nie istnieje. Jak można się nudzić, będąc człowiekiem zdrowym na umyśle?!

Jaka atmosfera panowała w Pani rodzinnym domu?

– Cudowna! Byłam żywiołowym dzieckiem z ogromną wyobraźnią, podsycaną artystycznym klimatem domu. Z ojcem urządzaliśmy szalone zabawy. Był architektem. Dostawałam od niego stare papierowe projekty, z których robiłam dekoracje teatralne. Budowałam sobie tron na jego biurku: ja byłam królową, tata sługą. Mama z kolei wykształciła we mnie wrażliwość na muzykę. Razem z moją starszą siostrą grały na różnych instrumentach, śpiewały. Otaczały mnie piękne dźwięki. Także ton, jakim zwracaliśmy się do siebie, musiał być odpowiednio piekny. Nie można było odezwać się brzydko. W szkole zresztą było podobnie. Wszędzie obowiązywały zasady eleganckiego zachowania się oraz mówienia. Muszę więc przyznać, że zostałam wychowana starannie i w wielkiej dyscyplinie.

Czy podobnie wychowywała Pani swojego syna?

– Zdecydowanie tak. Stale było: „Jak siedzisz?! Kolana razem!". Piotruś nigdy nie usiadł pierwszy do stołu, nie sięgał np. po ziemniaki, zanim rodzice sobie nie nałożyli. W wychowaniu dziecka pomogła mi opiekunka, pani Józefa, która musztrowała nie tylko jego, ale i nas, młodych rodziców.

Syn miał ciągoty aktorskie?

– Owszem, ale niezbyt silne. Studiował archeologię śródziemnomorską. Jeździł na wyprawy naukowe. A w Kanadzie, gdzie od lat mieszka z rodziną, skończył jeszcze studia informatyczne.

Jaką jest Pani babcią dla swojego osiemnastoletniego wnuka?

– Przede wszystkim widuję go znacznie rzadziej, niżbym sobie życzyła. Nie jestem siwa, nie bardzo pasuję do stereotypu babci szydełkującej w bujanym fotelu. Chociaż na szydełku i na drutach robię. Potrafię swoimi robótkami zadziwić nie tylko znajomych, ale i świat. Na jednym z festiwali zwracałam powszechną uwagę zrobionymi przez siebie kozaczkami z rafii.

W Pani życiu chwile radości przeplatają się z wielkimi smutkami. Co pomaga przetrwać właśnie te trudne chwile?

– Rzeczywiście, los doświadczał mnie wiele razy. Straciłam dwóch mężów... No cóż – mając pogodne usposobienie, łatwiej jest żyć. Uważam, że w każdym tkwi siła i wielkie pokłady optymizmu. Trzeba je tylko wydobyć. Każdy z nas może być pięknie oszlifowanym diamentem.

Wyjechała Pani z Polski w roku 1983, żeby na zaproszenie teatru w Los Angeles zagrać w „Matce" Witkacego. Przypuszczała Pani wtedy, że na tak długo opuszcza kraj?

– Absolutnie nie. O moim losie zadecydowały sprawy prywatne. W Ameryce poznałam mojego drugiego męża i zostałam tam.

W jakich okolicznościach poznali się Państwo?

– Zobaczyłam przyszłego męża... z estrady podczas koncertu dla Polonii w San Francisco. Myślałam, że jest Polakiem. Okazał się rodowitym Amerykaninem. Był jednym z dyrektorów instytutu kultury, w którym występowaliśmy.

Z okna Pani mieszkania w Los Angeles widać podobno napis „Hollywood". A jaki ma Pani widok z okna w Warszawie?

– Dość ładny. Mieszkam w Śródmieściu, w miejscu, gdzie jest sporo zieleni. Przez okno słyszę ptaki i dzieci z pobliskiego przedszkola. A jak stanę pod odpowiednim kątem, to widzę Pałac Kultury i Nauki... z zegarem.

Dzieli Pani czas między grę w serialach, występy w amerykańskim teatrze, koncerty dla Polonii, pracę ze studentami... Niełatwo to wszystko ogarnąć.

– Potrafię zorganizować swój czas, ale zawsze jest jakieś „albo, albo". Albo idę w świat i pracuję, albo zamykam się w domu, odrzucam, co życie mi oferuje, i marzę tylko o tym, żeby wokół mnie panował idealny porządek. Ktoś mógłby nazwać mnie bałaganiarą, bo np. nie rozpakowuję walizek i nie przekładam rzeczy na półki. Nie mam na to czasu, wobec tego waliza stoi od miesięcy nierozpakowana. Co jest mi potrzebne, to z niej wyciągam.

Jakie czynności domowe nudzą Panią szczególnie?

– Ostatnio coraz bardziej nie lubię robić makijażu. To właśnie mnie nudzi. Niestety, muszę codziennie malować twarz, dla urody i dla ochrony. Moje włosy są naturalnie rude. Jak każdy rudy człowiek mam wrażliwą cerę. Reaguję na wodę, słońce, powietrze i kosmetyki. Dlatego bez makijażu moja skóra jest całkowicie bezbronna. Żeby się nie nudzić podczas malowania – śpiewam. Ćwiczę głos, bo wiem, że struny głosowe z wiekiem wiotczeją.

Czy to prawda, że jest Pani sentymentalna?

– Tak. Przez całe życie zbieram rozmaite pamiątki czasu, ludzi, miejsc. Mają dla mnie ogromną wartość i sprawiają mi wiele radości. Może dlatego, że jestem z pokolenia wojennego – pokolenia, które wszystko straciło. Stąd ten wielki respekt i szacunek do każdego ocalonego przedmiotu.

Rozmawiała Anna Krasuska

W filmie „Jak być kochaną" W. Hasa jej partnerem był Zbyszek Cybulski.

Z Andrzejem Szczepkowskim zagrała w sentymentalnym filmie obyczajowym „Deszczowy lipiec" w reż. Leonarda Buczkowskiego.

Fani „Kabaretu Starszych Panów" wspominają jej „ciepłą wdówkę" (na zdjęciu z Jeremim Przyborą i Jerzym Wasowskim).

Z Polą Raksą w „Rękopisie znalezionym w Saragossie".

ZDJĘCIA: E. ŁUKASZEWICZ, PAT, AKPA, POLFILM (2)